WICI WIELKOPOLSKIE

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SZTUCE I KULTURZE

ROK IV POZNAŃ LUTY 1934 NR. 2 (29)

Wydawca: ANDRZEJ PRĄDZYŃSKI Redaktor: MARJAN TURWID

Z GAWĘD NA TRZECIEM PIĘTRZE

(LIST DO REDAKTORA „WICI", MARJANA TURWIDA)

Poznań, 16. lutego 1934.

Drogi Panie.

W jednej z naszych gawęd na trzeciem piętrze *„Kurjera Poznańskiego"*, gdzie ulokował się *Dział Kultury i Sztuki*, zapytał mnie Pan dla czego mówię, że działalnością „Wici" powinni radować się regjonaliści wszystkich naszych regjonów? Nietylko wielkopolscy.

Przyczyna jest według mnie ta, że rdzenny regjonalista kocha nietylko swój regjon, ale regjonalizm jako taki. Kocha ideę, której jest cząstką. Nie byłoby, myślę, nic rozsądniejszego jak wzajemna wymiana wszystkich pism regjonalnych między sobą. Możeby tak „Wici" ją zapoczątkowały? Ale to osobna sprawa.

Co do owego kochania, to zdaje mi się, że mówiąc o regjonalizmie (a zwłaszcza robiąc go, co jest ważniejsze) trzeba uprzątnąć z drogi pewne nieporozumienia. Słyszy się, że za regjonalizmem idzie — czy może przyjść, czy musi przyjść — separatyzm dzielnicowy, może nawet lokalny. „Polityka dzwonnicy parafjalnej", jak mówią Francuzi. Ale politykę zostawmy na boku. To całkiem inny zagon. W kulturze zaś, wszelkie związki między regjonalizmem a separatyzmem uważam za niebezpieczeństwo papierowe i urojone. Regjonalizm i separatyzm mają wprost przeciwne podstawy uczuciowe. Regjonalista to człowiek, który coś kocha, separatysta to człowiek, który czegoś, powiedzmy, nie lubi. Niektórzy powiedzieliby może: nienawidzi, lecz mojem zdaniem jest to słowo silne, które trzeba zachować na właściwsze okazje. Chociażby przez samo ochędostwo narodowe.

Niezawodnie, to „nielubienie się" istnieje. Nie zaprzeczajmy oczywistości, tembardziej, że istniało u nas zawsze, odkąd Korona była Koroną, Litwa Litwą, odkąd Mazury „z czarnem podniebieniem" byli Mazurami, a pod Rawą — „sub Rawa" — zamieszkali „szubrawcy". Naciągaliśmy się zawsze między sobą, mniej lub więcej dobrodusznie i mniej lub więcej kąśliwie. Nie było w tem i niema nic strasznego, ani nic specyficznie polskiego. Przypominamy sobie separatyzm bawarski w stosunku do Prus! Któżby u nas znalazł chociaż cień podobnego zaślepienia i brutalności?



LEON DOŁŻYCKI DRZEWA (ol.)

A Francja? Z fars paryskich, w których „południowcy" i „północnicy" walczą ze sobą na teatralne noże, można wiele się dorozumieć. Zwłaszcza gdy się wie, że Francuzi lubią mówić żartem bardzo mocne prawdy.

Nie, u nas nie było jeszcze najgorzej, chociaż lubiliśmy się odszczypywać nawzajem z większym lub mniejszym nakładem jowialności. Co do naszych czasów, to przed odbudowaniem Polski często nabierało Królestwo Galicję i vice versa (przy czem obie strony zarzucały sobie w najzabawniejszy sposób jedno i to samo: blagę — „blagę królewiacką" i „blagę galicyjską". Dopiero po roku 1918, gdy przyszła wielka międzydzielnicowa migracja, zaczął się istny melodramat w paru odsłonach z Małopolską w roli tytułowej.

Dzisiaj, gdy już się skończył tak jak się był zaczął,

sprawiedliwość każe mi przyznać, że pierwszy raz zaleciała mnie „okupacja galicyjska“ nie w Wielkopolsce, chociaż ta za swoich „Galicjoków z Kongresówy“ była bodajże najwięcej okrzyczana. Było to w Warszawie, chociaż „centusie“ i „tajoje“ zjechały tam znacznie mniejszą hurmą, niż do Wielkopolski. Wiadomo, że importowano ich wszędzie w jednakim celu: jako drożdże urzędnicze. Galicja jedyna ze wszystkich dzielnic wytwarzała aż do hyperprodukcji tę (na pewien czas niezbędną, jak się okazało) ingredjencję. Kraj „inteligencji zawodowej“, nierozerwalnie z golizną spojonej, miał na składzie wszystkie rangi i dostojeństwa. Od drożnika i kancelisty, do prezesa apelacji.

Inna rzecz, iż taki dobrotliwy najazd ludzi w gruncie rzeczy nieznanych, mógł był zdenerwować dzielnice, które w kole wytyczonem przez kordon graniczny były istotnie samowystarczalne. Na swoje warunki. Zdaje mi się, że głównie na tem tle bujały opowiadania o tym czy innym separatyzmie, wyolbrzymiane nieraz do nadludzkiego formatu, chociaż w dobrej wierze i bez złej woli.

Dzisiaj to się uspakaja. „Regjony“ wytwarzają normalnym trybem swoich własnych urzędników. Migracja skurczyła się do przeniesień urzędowych ze stanowiska na stanowisko. Polscy urzędnicy jeżdżą w Polsce, nie po dzielnicach. Podział na rządzonych tubylców i rządzących przybłędów znika coraz to bardziej, zwłaszcza odkąd właśni i niewłaśni dostojnicy zostali ze sobą zrównani w prawie korzystania z redukcyj. A zaszło coś jeszcze ważniejszego.

Wyrosło młode pokolenie. Weszli w życie „neokrólewiacy“ i „neowielkopolanie“, którzy emigrację swoją przeszli jako dzieci i w nowej „ściślejszej ojczyźnie„ pięknie się zaaklimatyzowali. Znam młodych ekskresowców, którzy umieją prowadzić takie rozmowy w djalekcie chwaliszewskim, że ani słowa nie rozumiem. Miewałem jeszcze podnioślejsze wzruszenia. Niedawno, idąc placem Wolności, usłyszałem za sobą, jak ktoś mówił, akcentem nieskazitelnie poznańskim: — Ty, m i k r u s, nie k i w a j mnie, toż to b u j d a n a r e s o r a c h!

Czarujące to połączenie Lwowa i Warszawy w ustach Poznańczyka zabrzmiało mi jak dzwon pogrzebowy „separatyzmu“. Naprawdę, kto patrzy ten widzi, jak przemięszane z Obrępajłami Antkowiaki, Wojtany i Koguty zaczynają wytwarzać zaczyn Polaka międzydzielnicowego. Będzie to aliaż tęgi, odporny, trwały. Składają się na niego solidne ingredjencje, a zaczął się stapiać tak jak na porządny aliaż przystało w prawdzimym ogniu. Okoliczności sprzyjały, bo były naprawdę dość urozmaicone, tak między jesienią roku 1918, a jesienią 1920. Ot np. pierwszą obronę Lwowa przeciw Rusinom prowadzili zrazu sami Lwowianie. Wiadomo z czem zgłaszali się na ochotnika najrdzenniejsi z nich, tzw. „batiary" przedmiejskie. Przychodzili bronić nie Lwowa, ale swego Zamarstynowa, Łyczakowa, Persenkówki itd. Na inny „odcinek“ — mówili — nie pójdą. Byli to, jak widzimy, regjonaliści o mocnej separatystycznej podprawie. I co się stało? Nie upłynął „ruski miesiąc“, jak o swój Zamarstynów bili się już ramię w ramię z Wielkopolanami. A w półtora roku później, Tońko Szczepko walili do bolszewików pod Wyszogrodem i na Pomorzu. Regjonalny patrjotyzm łyczakowski dzieli duża przestrzeń od patrjotyzmu polskiego. Szczepko i Tońko zmierzyli ją w sposób najbardziej empiryczny i przekonywujący, bo własnemi piętami. A teraz, po piętnastu latach odbudowanej Polski...!

Opowiadać, że regjonalizm wzbogaca ducha Polski, jest takim samym komunałem jak dowodzić, że akord jest bogatszy im więcej ma dźwięków. Gawęda znowu jest w tem podobna do kiełbasy, że można ją uciąć gdzie się komu podoba. Drogi Panie! Wyobraźmy sobie, że znów nam ktoś przerwarwał — — tak jak to bywa na naszem trzeciem piętrze — — i zakończmy wzajemnem utwierdzeniem się w wierze, iż regjonalizm nikomu i niczemu nie szkodzi, a jest sam w sobie wart góry złota. Myślę, że „Wici“ dobrze się zasługują Wrześni, Wielkopolsce i Polsce. Jestem rad, że mogę powtórzyć to raz jeszcze tutaj, tak jak nieraz powtarzałem w cztery oczy. I dłoń Pańską ściskam serdecznie.

Witold Noskowski.

FLORJAN JERNAS:

OPOWIEŚĆ O PRZYJACIELU

Dzień jest jesienny i właśnie jest niedziela —
Idę chorego odwiedzić przyjaciela...

Mój przyjaciel mieszka w podwórzu
Na drugiem piętrze
I spać nie może —
We dnie słucha jak w rynnie pluszcze woda,
A w nocy błądzi po Zodjaku
I gwiazdy liczy jak ziarnka maku...
Boże!
Jak on wygląda — kości a skóra —
Zda się, że blady anioł
Do wiecznego lotu przypina mu pióra!...

Mój przyjaciel jest skrzypkiem
I rok już tęskni do skrzypiec —
Na zdrowie cierpliwie czeka,
Jak dziecko na flaszkę mleka...

Każdemu ufnie patrzy w twarz
I szeptem pyta: Jak mnie masz? —
A wszyscy kłamią,
Bo prawdy mu nikt powiedzieć nie może!...

Biedak!
Rok już w niemocy leży
I wierzy,
Że wstanie
Dziś lub jutro...

A my wiemy,
Że dziś lub jutro
Wywiozą go na cmentarz,
Że mu przyjaciół gromada wierna
Nad grobem zaśpiewa:
Requiem aeternam!

Lecz niech się łudzi —
Ulży mu może.

Ulży mu dzień niepogodny i chmurny
I wicher grający na strunach drzew,
Scherza — ballady — sonaty nokturny!...

Mój przyjaciel wzdycha do szumu wioli,
Lecz grać mu nie wolno, bo płuca go bolą.

Mój przyjaciel
Jest pełen tęsknoty
Do życia i do skrzypiec —
I kona na suchoty
O, Boże!...

ALFRED JESIONOWSKI:

„WSZYSTKICH WAS SERCEM OBDZIELĘ"

(O JANIE SZTAUDYNGERZE)

I. NASZE PIERWSZE SPOTKANIE

Nie odbyło się ono twarz w twarz, nie mniej było dla mnie przeżyciem. Trzeba było przypadku.

Miesięcznik „Tęcza" umieścił wśród premij książkowych zbiorek wierszy Sztaudyngera p. t. Mój Dom. Nazwisko poety nie mówiło mi nic. Ale tem się nie zrażam: trafia się przecież czasem na coś, co do serca przemówi, duszę poruszy — a tego tylko szukam w wierszach. Niejestem na szczęście krytykiem, mogę się rozkoszować bezinteresownie pięknem, mogę odłożyć nie doczytany do końca utwór, jeśli w nim nic dla siebie nie znajduję. A jeśli się czasem pisze o tem co się czytało, to po to, by innym dać również sposobność do rozkoszowania się czemś miłem i dobrem, by pośredniczyć między twórcą a czytelnikiem, a czasem, by naprawić krzywdę wyrządzoną. Lektura zbioru wierszy, debiutu poetyckiego, p. t. Mój Dom — już od wiersza wstępnego dała mi tę przyjemną świadomość, że nie mam przed sobą żonglera pustych słów, grafomana, debiutanta, który za wszelką cenę chce się narzucić „oryginalnością" par force. I dalsza lektura upewniła mnie, że mam przed sobą niezmiernie rzadki przejaw twórczości, twórczości szczerej, czystej, jasnej, — że mam przed sobą poetę, który ma naprawdę coś do powiedzenia, coś i co sam głęboko przeżył, przemyślał, który nie wstydzi się przyznać, że uważa zdrowie duszy za skarb bezcenny — i czyni to tak prosto i przekonywująco, że nawet podejrzenie nie powstaje, iż poeta pozuje, iż sobie tę formę oryginalności obrał. Subtelność i delikatność tych wynurzeń sprawia, że odrazu bierze serce czytelnika w posiadanie, wierzy się poecie, gdy mówi:

„Strój się w białość wesela
wiosenna jabłoni,
Słowom mądrym i cichym zawierzaj,
Nie daj rwać kwiatów nieopatrznej dłoni,
Bo wiedz, że wrota otworzy na ścieżaj
Sadownik twój...
(Trzeba, ażeby dusza...)

Poeta zdaje sobie sprawę, że wir świata nie sprzyja takim zasadom, wie, że łatwo jest stracić tę jasność duszy, która człowiekowi skrzydła przypina, od brudu chroni:

„Pytam z cichą boleścią,
czyli zawsze będzie
Tak błękitnie i cicho mieszkać
w duszy piękna?"
(Przedwiośnie)

Wierzy jednak w słoneczną przyszłość i umie wiarę tę przelać w duszę czytelnika („Mój dom" — „Wyzwanie")

„Hej, pójdźmy radośnie wte drogi nieznane,
Hej, pójdźmy przed siebie,
gdzie poniesie wzrok.
— — — — — — — — — — — — —
Na dróg kresach dalekich dawno
na nas czeka
Nasz własny, najdawniejszy,
nieziszczony sen."
(Namówiny)

Takie dyspozycje duchowe, uczciwa otwartość, pogodna szczerość, radość z wszystkiego co istotnie piękne, co najpiękniejsze: radość z cudów przyrody, pozwalają poecie



Dr. Jan Sztaudynger

równie szczerze mówić o naturze, o jej stworach, cieszyć się słońcem, kwiatem, wiosną, smucić się smutkiem przyrody i własnem sercem ucieszyć inne serca. („Widok z okienka")

Nic dziwnego, że większa część wierszy tego tomiku, to wiersze o miłości, tej pierwszej, najczystszej i najprawdziwszej, choć nie zawsze najpełniejszej i najgłębszej. Żadna jaskrawość, żadna przesada i żaden „Weltschmerz" i przedwczesne uogólniania, żadna „upojność" nie mąci tych subtelnych wynurzeń o budzącej się („Poshet"), i rozkwitającej miłości („Poshet o świcie" — „Sonata" i prześliczny wiersz „Oczy"), o smutku kochania („Widok z okienka" — „Dom opuszczony" — „Sam"). Są to intymne, czyste ale i radosne drgania młodej miłości, miłości młodych, o czarze, dziś już rzadko spotykanym w poezji, chociaż w życiu często jeszcze taką miłość spotkać można.

Mimo tonu spokojnego, doskonałego umiarkowania poetyckiego — niema w tych wierszach patosu rezygnacji, (najbardziej murowany pewnik nieszczerości) niema fałszywej skromności — są natomiast akcenty wiary, wiary zarówno w znaczeniu religijnem, jak i wiary w życie, dobro i piękno, w siły młodości — ale jest też świadomość, że niema życia bez cierni i bólu, że ciernie są konieczne do pełnego szczęścia i bez nich niema prawdziwego życia. Rostworowski, któremu poeta ten tomik zadedykował, ujął istotę tonu wierszy tych doskonale, zorjentował się znakomicie w Sztaudyngerze-poecie:

„Ażeby tworzyć, trzeba umieć być sobą: jak najżywszym, jak najszczerszym i jak najgłębszym, to znaczy; jak najwszechstronniej przez siebie zrozumianym...

Rozdawać pełnemi garściami swój dorobek — a to uczciwość poety. Czerpać z przeszłości wyłącznie wzory samopoznania — oto mądrość poety. Być chociażby jednym nowym, to szczerym dźwiękiem w nigdy nie kończącej się pieśni człowieczeństwa — oto cel poety.

To przykazanie, tę uczciwość, tę mądrość i ten cel znajdujemy w pierwszym tomiku pierwszych liryk Sztaudyngera. Jest młody, więc sięga po jedyną treść młodości: miłość. Jest bogaty sercem, więc stać go na największy zbytek młodości: czystość."

Trudno lepiej ująć zawartość treściową tego tomiku, gdzie jasna, dobra, szczera myśl wyrażona jest wierszem płynnym, pieszczącym, melodyjnym. To pierwsze spotkanie z Sztaudyngerem poetą dało mi dużo serdecznych wzruszeń i wiarę, że warto czytać szczególnie tych poetów o których milczy literatura Pana Pomirowskiego.

II. „DOMEK W SŁOŃCU"

Prędzej niż przypuszczałew nadarzyć się miała sposobność poznania Sztaudyngera osobiście. Przyszło ono równie niespodziewanie, jak pierwsze poznanie. Właśnie tego roku pojechałem w pierwsze odwiedziny do Gustawa Morcinka, uprzedzony przezeń, że spotkam tam sporo znakomitości śląskich: Pawła Stellera, wybitnego grafika śląskiego, twórcę Bibljoteki Studwudziestu: Jana Kuglina, z pochodzenia cieszyniaka, malarza Stanisława Ligonia, znanego jako Karlik

*) Jan Sztaudynger: Mój Dom. Nakł. Księgarni św. Wojciecha Poznań.

z Kocyndra i Ber i Bojek, co niedziele wygłaszanych przez Radjo Katowickie (wyszły one n. b. już w formie książkowej, 2 tomy, można się uśmiać za parę złotych) i wreszcie znanego pedagoga i znakomitego historyka Śląska Cieszyńskiego Dyrektora Popiołka. Znalazł się też z Poznania, Cieszyniak rodem, ks. kan. Biłko, patron główny S. M. P. — Jakież było moje zdumienie, kiedy już na dworcu skoczowskim przedstawia mi czy mnie (nie pamiętam) Sztaudyngerowi. Jak się później przekonałem, pasował Sztaudynger doskonale w to towarzystwo. Jest bowiem rzeczą notorycznie znaną, że Ślązacy z Cieszyńskiego nie noszą serca w piersi, jak normalni ludzie, ale na dłoni. Sztaudynger też. — Objuczony plecakiem, walizkami i nartami nie pozwolił sobie odebrać części — okazało się później, że byłoby się bardzo przydało, bo łatwiej dźwigać w sobie świat poezji jak kilka walizek. Szliśmy więc całą paczką z dworca do „Domku w słońcu" jak Skoczów nazywa śliczną wilkę Morcinka. Już na progu domu przywitała Sztaudyngera, i jego jednego, bardzo wylewnie siostra Morcinkowa, panna Tereska. Snać, że poeta poznański już bywał w gościnie u twórcy „Wyrąbanego Chodnika". — Oszczędzę cierpliwym czytelnikom dalszych szczegółów, wyznam tylko, że poza Morcinkiem głównie interesował mnie Sztaudynger. Znałem przecież już poza „Moim Domem", także „Ballady Poznańskie" — i za nie szczególnie wrósł mi w serce Pan Jan. Ale o tych „Balladach" później więcej. Czekałem tylko sposobności, by go wziąć na bok i móc pogadać trochę na osobności. Jakoż po obiedzie zdarzyła się sposobność ku temu. Część tej naszej rozmowy znajdą czytelnicy na innem miejscu, rozmawialiśmy bowiem i o tem, co się ciekawego w Poznaniu dzieje (patrz: Koniec sporu).

(c. d. nastąpi.)

KAZIMIERZ WIZE:

W OBRONIE ROTY

Polityczna pieśń Konopnickiej „Rota", śpiewana wedle świadectwa Lipińskiego przez Pierwszą Brygadę w czasie bojów stała się dla wielu Polaków hymnem narodowym.

Znaleźli się z czasem i przeciwnicy Roty z powodu przykrej zwrotki o „pluciu w twarz". Przyznać należy, że zwrotka ta aż nadto szarpie naszem sumieniem, przypominając nam nie tylko dawną niewolę pruską, — czy tylko pruską?, ale i obecną bezsiłę wobec tego, co się dzieje na Śląsku, zatrzymanym przez Niemców, w Prusach Wschodnich, a nawet i w Gdańsku. To też najlepszą drogą wyjścia byłoby odrzucić wymienioną zwrotkę i zastąpić ją inną, napisaną przez Konopnicką, choć później, jak sądzę, niesłusznie poniechaną:

Nie damy miana Polski zgnieść.
Nie pójdziem żywi w trumnę,
W ojczyzny imię i jej cześć
Podniesiem czoło dumne.
Odzyska dziadów ziemię wnuk;
Tak nam dopomóż Bóg!

Wprowadzając tę zwrotkę, może również nie zapomnimy o Polakach na Opolu Śląskiem, na Warmji i o tem, że i o ich cześć nam się troszczyć i dbać, chociaż hańby nie nazwiemy po imieniu, biczując jakoby samych siebie.

LEON DOŁŻYCKI:

Z NOTATNIKA ARTYSTY

(Zamieszczając uwagi prof. Leona Dołżyckiego i reprodukując szereg dzieł tego z najznakomitszych plastyków współczesnego Poznania, — redakcja „Wici" zamierza w podobny sposób zapoznać swych czytelników z kolei i z innymi wybitnymi artystami dzisiejszej Wielkopolski.)

Kryzysowy pomysł miał Pan — Panie Redaktorze, wciskając mi pióro do ręki z nakazem pisania o malarstwie. Smętnie wygląda też ten czarny wąż liter w porównaniu z krwistym kraplakiem, czy złotym cadmiumem spływającym z pędzla na płótno. Co tu zresztą dużo pisać o malarstwie, kiedy to taka prosta sprawa. Kupić płótna i farb no i malować. Co? No, to co się podoba. Jak? — Jak się podoba. — Co na to krytycy? No, ci zawsze znajdą jakieś błędy, wpływy, „izmy", a publiczność zamiast się poddać urokowi barw i form poczyna myśleć na najróżniejsze tematy o „temacie", w rezultacie czego — obraz wraca po wystawie do malarza nie zmieniany na złoto.

Jak powiedziałem, dla większości odbiorców malarstwa, punktem wyjścia jest myślenie, a nie spostrzeganie. Ułatwia to coprawda „gadanie" o sztuce i jej zagadnieniach, ale utrudnia, ba — uniemożliwia odczuwanie. Błędem zasadniczym jest „patrzenie rozumowe". Musimy się zgodzić, że jest to też o wiele łatwiejsze. Zostawmy ten sposób obchodzenia się ze sztuką krytykom. To ich fach, — jak fachem karawaniarzy jest grzebanie zmarłych.

Nie bójmy się błędów popełnianych z entuzjazmem, bójmy się raczej zimnej wiedzy. Umiejętność orjentowania się w „izmach" nikomu jeszcze nie pomogła do odczuwania dzieł sztuki, jak znajomość geografji nie pomaga do odczucia piękna krajobrazu.

Przykład: — Wyszukiwanie wśród wierzchołków gór znanych nam ich nazwisk, tak samo przeszkadza w podziwianiu ich majestatu, jak uparte doszukiwanie się podobizny w portretach. —

Dla widza obraz niech będzie nowym światem jaki poznaje dzięki artyście. Światem, którego zmieniać nie wolno, którego urokowi tylko wolno się poddawać.

W tym tylko wypadku widz tworzy jedność z twórcą, — wtedy obraz może się podobać — no i wtedy należy go kupić.

Sergjusz Jesienin:

LIS

(przekład Eugenjusza Morskiego)

Przykusztykał z nogą roztrzaskaną,
kłębkiem upadł nim do nory wlazł,
widział ściegiem krwi odgraniczaną
na dziewiczym śniegu groźną twarz.

Ciągle brzmiał
w kłującym dymie wystrzał,
w oczach chwiał się
trzęsawiska grunt
a z gęstwiny wiatr kosmaty zbystrzył
i rozsypał rozdzwoniony śrut.

Mgła jak żołna nad nim się rzucała,
mokry wieczór był jak krwawy lep,
głowa w biegu trwożnie opadała
a na ranie język suchy krzepł.

W śnieg pożarem rudy ogon padał
wargi jakby stęchłej marchwi miąższ
pachną szronem i glinianym czadem
a na oczy krew napływa wciąż.



Portret art. mal. Hanytkiewicza



Fragment portretu p. B.



Kompozycja

drwal

stefan wojcieszek

(Fragment opowieści)
Linoleoryty ST. WOJCIESZYŃSKIEGO

Już szły naprawdę ostatnie dni lata.

Słońce, przezierając przez kłębowiska chmur, coraz słabiej dopiekało i mniej hojnie śmiało się do ziemi złocistemi promieniami.

Rozległe płachty opustoszałych pól srebrzyły się krótkiemi kolcami ściernisk, złociły się zwiędłemi łodygami łęt ziemniaczanych, a łąki, pokryte resztkami spieczonych traw, leżały ciche i jakby zasmucone, że już musiały utracić dawną świeżość i ozdobę.

Cała natura wyzbywała się beztroskiego uśmiechu lata i powoli przywdziewała melancholijną maskę jesiennych kolorów.

Lud wiejski, jak te pszczółki brzęczące pracowity, mimo że był sterany ciężką pracą żniwną, gotował się zawzięcie do wybierania z ziemi ostatnich plonów — roślin okopowych.

A Wojciech Przydacz nadal pilnie pracował w książęcym lesie.

Pewnego ranka — jak zwykle — Wojciech udał się do boru. Silny wiatr szarpał wtedy gałęziami drzew, otulał się drobniutkiemi kamyczkami piasku i hulał djabelskiemi wirami.

Zaraz rano przyszedł do zrąbu borowy i powiedział przezornie do drwali:

— Chłopi, dzisiaj silny wiatr dmie od Moskala, więc musicie uważać, żeby wam się co złego nie przydarzyło!...

— Ady, Zaruszeski, nie uczcie nos starych!... — zaśmiał się odważny Wojciech Przydacz.

— „Strzeżonego Pan Bóg strzeże!"... — mruknął leśnik i poszedł dalej w rewir, a drwale zabrali się raźno do pracy.

Echa leśne, niby olbrzymie megafony, roznosiły daleko jękliwe zgrzyty pił, mocne cięcia siekier, a od czasu do czasu, trzask walących się sosen.

Cały las ronił płaczliwie pożółkłe liście, wył żałośnie ponurym poszumem nad trupami ściętych drzew i silnemi rękoma wiatru rwał sobie rozpaczliwie iglaste włosy.

A drwali nie wzruszył przeciągły, dłaczliwy szum... Oni, niby zatwardziali chirurdzy, cięli zawzięcie ciała drzew i układali je w foremne „metry".

Gdy zegar gołuchowskiego kościoła wybił dwunastą godzinę — wszyscy porzucili robotę i udali się na obiad. Wojciech rudował właśnie z Maciejem Garbarą potężną sosnę... Nie zdążyli jeszcze dostatecznie odkopać jej korzeni...

— No, zostowma to na późni — powiedział głodny Garbara do Wojciecha. — Jyno uwożejcie, żeby wóm czasem nie gruchła na łeb!... — dodał jeszcze Maciej i znikł między drzewami. A Wojciech usiadł blisko tej sosny i czekał na córkę. Po chwili w krzakach ukazała się sylwetka młodej kobiety. Kobieta niosła mały koszyczek i wzrokiem szperała po całej porębie.

— Tu! tu!... — zawołał na nią Wojciech.

— Już widze, widze!... — zaśmiała się młoda Madejowa i szybko podeszła do ojca.

— Tam dali usiądźcie! — zawołała — bo wiatr może łatwo to drzewo łobalić!...

— Nie marudź, dziewucha!... — mruknął Przydacz. — Nie bądź tako głupio! Jak poleci to w tamtóm strone, a nie na mnie!... Skąd wiatr wieje, na mnie, czy łody mnie?...

— Łod wos!...

— No, to nie rób niepotrzebnych sobiekcyji i dowej to, coś nagotowała!... Czekej, jo sobie sóm wezne, a ty zaro weź szpodel i zawolej doły!...

— Które?... — pytała wzrokiem.

— No te!... Nie widzisz?...

— Aha... — zawołała Madejowa i podniosła ze ziemi łopatę. Poszła kilkanaście kroków dalej i jęła zsypywać żółty piasek do otworów, w których przedtem tkwiły smolne korzenie sosen.

Naraz głośniej zaszumiały drzewa i zatrzaskały suche konary...

— Łociec! uciekejcie!... — zagrzmiał równocześnie przeraźliwy krzyk kobiety.

Wojciech przeraził się krzykiem, upuścił z ręki łyżkę i jak oślepły skoczył nieświadomie... pod walące się drzewo. Potężna sosna runęła z głośnym chrzęstem i — ostremi kłami połamanych konar rozszarpała starcze ciało drwala...



młoda Madejowa szybko podeszła do ojca...

LISTY Z REGJONÓW

Z POZNANIA

Koniec sporu

Wtajemniczeni twierdzą, że ów spór, owa fronda literacka, o której pisaliśmy swego czasu (Wici Wielkop. Nr. 6 — 1933) była niepotrzebna, a zmiany w Związku Zawodowym Literatów w Poznaniu mogły były się odbyć zupełnie spokojnie, nie poprzedzane tylu głośnemi zabiegami. Zwyciężyli, jak przewidzieć było można, „młodzi". Do Związku dopuszczono nie tylko tych pisarzy, którym się mimo kiepskiej konjunktury udało coś wydać, ale i tych, o których dotychczasowi członkowie orzec mogli, że uważają ich za literatów na podstawie ich działalności na niwie literatury. W ten sposób zwiększyły się szeregi poznańskiego Z. Z. L. o następujących członków: Balickiego, Herberta, Kapuścińskiego, Kawczyńskiego, Kraszewskiego, Morskiego, Popowską, Troczyńskiego i Ulatowskiego. (Nie ręczę za zupełną dokładność tej listy.) Nowy zarząd zaś ukonstytuował się w następującym składzie: Prezes — Zenon Kosidowski, wiceprezesi — Balicki i Troczyński, członkowie — Zembrzuska - Gorzyńska, Sztaudynger i Piekarczyk. Poza Związkiem pozostali Wasylewski, który należy do

warszawskiego Z. Z. L. i Swinarski, którego trudno namówić do „zorganizowania się“. Nowy zarząd zamierza wynająć dla Związku stały lokal własny, wyposażyć go w bibljotekę i czytelnię czasopism polskich i zagranicznych, założyć stały sekretarjat i zorganizować pracę w łonie stowarzyszenia na wzór Wilna. Mają się więc odbywać regularne, cotygodniowe zebrania odczytowe, wieczorki artystyczno literackie. Zarząd zamierza również otoczyć opieką stałą wybijające się młode talenty, zużywając część funduszów Związku właśnie na ten cel. Jak nas informują, z pewnej takiej pomocy korzystają już trzej młodzi, dobrze się zapowiadający literaci: Grott, Turkowski (którego doskonały wiersz zamieściliśmy w grudniowym numerze Wici) i Jernas.

Co do zapowiedzianego programu nasuwają nam się pewne uwagi. Czy nie byłoby bardziej celowem zużyć kwotę przeznaczoną na czasopisma (które przeczytać można w Bibljotece Raczyńskich lub Uniwersyteckiej) na popieranie działalności wydawniczej tych wszystkich młodych pisarzy, którzy wartościowe materjały mają w tece — a nakładcy znaleźć nie mogą? Pieniądze na to wyłożone wróciłyby się prędzej czy później. W zakres działalności poznańskiego Z Z. L. wejść powinna także opieka nad zapomnianem piśmiennictwem wielkopolskiem Stulecie śmierci Garczyńskiego się zbliża, a dotąd niema monografji wyczerpującej o tym niesłusznie zapomnianym pisarzu wielkopolskim. Trzebaby umożliwić znanemu poecie Sztaudyngerowi wydanie dwuch gruntownie opracowanych studjów o Garczyńskim, mianowicie o „Religijności Garczyńskiego“ i o „Wpływie Goethego na Garczyńskiego“ względnie skłonić autora tych dwuch nieogłoszonych dotąd studjów do napisania wyczerpującej monografji o Garczyńskim Niema także dotąd monografji o Wierzbińskim, zebrania i wydania domagają się rozproszone wiersze Wilkanowicza. Na ogłoszenie czekają prace Dyonizego Królikowskiego, również niesłusznie zaniedbanego przez młodsze pokolenie literackie Wielkopolski. Należałoby wydać bibljografję wydanych od roku 1918 dotąd prac naukowych, utworów literackich, studjów i prac krytycznych tyczących się Wielkopolski. Ogromne pole pracy dla literatów wielkopolskich i w Wielkopolsce pracujących, ogniskiem tej pracy poza Uniwersytetem w dziedzinie naukowej, stać się powinien poznański Związek Literatów Zarząd powinien również poczynić kroki, by sobie zapewnić na wzór Wilna stałe subwencje państwowe czy samorządowe, nie ograniczając się do samego Poznania, ale swą działalnością objąć również prowincję, gdzie napewno natrafi na odpowiednie zrozumienie. W każdym razie powinien nowy zarząd pokazać, że poznański Z. Z. L. żyje, a nie jak dotąd, egzystować tylko na papierze.

Alfred Jesionowski.

Z BYDGOSZCZY

Ludzie i formułki

To co się dzieje w tak zwanej kulturalnej Bydgoszczy trudno jest ułożyć w ustalonej szufladce konkretnych kategoryj. Istnieje przedewszystkiem ogromna rozpiętość między zamiarami i możliwościami a ich realizacją.

Pesymizmu nie można posuwać do nieprzyzwoitości. Przeciwnie: rozsądny objektywizm każe przyznać, że pewne możliwości w Bydgoszczy są Nawet dość duże, jak na taki nieskrystalizowany i przypadkowy konglomerat ludzi, których wiatr nawiał ze wszystkich stron świata i w ten sposób zapełnił pustkę na wyrost budowanego „małego Berlina“. Bydgoszcz niema wprawdzie tradycji środowiska kulturalnego, ale — ryzykujemy twierdzenie — takie środowisko dałoby się stworzyć.

Jednak się nie tworzy. Powód? Niejeden. Przyjrzyjmy się tej sprawie nieco mniej niż zwykle ceremonjalnie, i bez zwykłego szacunku dla uznanych niestety formułek na wielkość. A więc przedewszystkiem brak form organizacyjnych, albo formy istniejące wręcz karykaturalne i złe. Mącenie opinji publicznej i fałszywe jej nastawianie wobec problemów artystycznych, co obciąża hipotekę czynników notorycznie nieodpowiedzialnych, których likwidację przeprowadza się na szczęście dość systematycznie. A wreszcie brak zdecydowanej ofenzywy ze strony tych, którzyby mogli życie artystyczne Bydgoszczy skierować na odpowiednie tory.

Najcharakterystyczniejsza jest sytuacja w plastyce. Niby teoretycznie wszystko powinno być dobrze. Nawet bardzo dobrze. Są utalentowani malarze, rzeźbiarze, graficy, których uczciwa praca wybija im okno na świat; — są wystawy na rzetelnym poziomie mogące się pochwalić coraz intensywniejszym refleksem w szerokich kołach; — jest wreszcie Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych i w tem właśnie miejscu spoczywa ironiczna pointa sytuacji. Rację istnienia Towarzystwa stanowi zasadniczo konieczność nawiązania ściślej łączności między artystycznym producentem, a konsumentem, między plastykami a tak zwaną publicznością I tego postulatu Towarzystwo nie spełnia należycie i spełnić nie może, odgrodziwszy się murem niechęci i snobistycznego nadęcia od jedynie wartościowego zespołu artystycznego, to znaczy Grupy Plastyków Pomorskich. Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych ma zapewne najlepsze chęci, ale swoją statutową współpracę z plastyką ogranicza do artystycznie szkodliwej opieki nad ludźmi, którzy więcej mają wspólnego ze sztuką mięsa, niż ze sztukami pięknemi. (Skandaliczna „nagroda doroczna“ w r. b.)

Najlepsza inicjatywa, źle realizowana, musi ugrzęznąć w błocie konwenansu, co odbija się szkodliwie na samej idei propagowania zainteresowań artystycznych w mieście, które jak Bydgoszcz, tej propagandy na gwałt potrzebuje. „Nora artystów“, stworzona przez T. P. S. P. dzięki ofiarności właściciela kawiarni p. Berendta okazała się kompromitującym kramikiem jarmarcznej tandety, kramikiem zresztą, który i pod względem handlowym zawiódł nadzieje. Jeśli ktoś chce mieć monopol na pewną dziedzinę pracy, musi w tę pracę wkładać wartości konkretne, bo inaczej ludzie żywi przejdą do porządku nad banalnemi formułkami snobistycznej atmosfery pseudo towarzyskiej.

Z perypetjami plastyki bydgoskiej połączony jest ściśle plan stworzenia w Bydgoszczy ośrodka artystycznego, którýby w formie lżejszej, bądź klubu bądź kabaretu literackiego, dawał fundamenty pod kulturalne stanowisko regjonu. Pomysł jest, ludzie, którzyby mogli go zrealizować są, ale wszystko rozpływa się w mgławicy niejasnego i niekonkretnego rzutowania projektów przy stolikach kawiarnianych.

Dzisiejszy list z Bydgoszczy jest poniekąd programowy. Program zresztą jest bardzo ograniczony. Coś trzeba robić. Trzeba wykorzystać konjunkturę przypadkowego zebrania się w Bydgoszczy niewielu wprawdzie ludzi, których nastawienie regjonalne nie ogranicza się do nogi wieprzowej z kapustą. Bydgoszcz jest mimo wszystko wdzięcznym polem pracy. Wbrew temu co się mówi Bydgoszcz jest naprzykład miastem zdecydowanie teatralnem. Dowodem tego jest choćby fakt, że jedyny występ artystki o zdecydowanem nazwisku i talencie (Zaklicka) wypełnia salę do ostatniego miejsca. Trudno przecież mieć do publiczności pretensje, że, jeśli chodzi o grę aktorską, wyrobiła już sobie po kilkunastu latach istnienia polskiego teatru w Bydgoszczy jaki taki sąd i może dlatego bojkotuje premjery lokalne.

W okresie modnej walki o „pion“ my musimy walczyć przedewszystkiem o poziom.

Bydgoszcz, w lutym 1934 r.

H. B. Kuminek.

Z LESZNA

Ze wszystkich miast rozsianych tu na pograniczu,
Najpiękniejszem jest Leszno, o zawsze pogodnem obliczu,
Dawne fosy i wały stały się plantami
I ogród ten otoczyły swemi ramionami,
Dla ptactwa i dla dziatwy tworząc raj prawdziwy,
A obok Park Kościuszki odwieczny, sędziwy.
Niektóre drzewa nawet króla pamiętają,
Niestety, już współcześni park ten wycinają!
Dalej wąskie zaułki prastarego miasta,
Tam znów szeroka, nowa ulica wyrasta.
Tu się sąsiednich domów spotykają głowy:
Jeden z nich ma szczyt płaski, ten ostrołukowy.
Jeden jest nowożytny, ów pamięta wieki,
I spogląda z pod dachu przymkniętej powieki...
Lecz najpiękniejszy Rynek. Ratusz stoi w środku
Wokoło stare domy drzemią sobie słodko,
Śniąc o ubiegłych latach, a także bywają,
Które jeszcze królewską Polskę pamiętają.
I teraz się radują z tego Odrodzenia
Na kolumnach wspierając głębokie podcienia.
Nieraz w pogodne noce letnie, lub zimowe
Słychać pogwary bruków i domów rozmowę.
Stary Ratusz nie może zapomnieć tej chwili,
Gdy na rynku się polscy ułani zjawili,
I po latach niewoli, hańby i udręki
Pierwsze tu pieśni polskiej rozległy się dźwięki,
A na szczycie Ratusza powiał Orzeł Biały,
I nasz sztandar kochany tonął w słońcu cały.
Leszno tak szybko polskie oblicze zyskało,
Jakby nigdy pod Niemcem dawniej nie bywało.
Gdy w święta Narodowe na rewje, pochody
Wybiegnie na ulicę i stary i młody,
A potężny hymn szczęścia pod niebiosa płynie
Widać, że tutaj polskość na wieki nie zginie.

Dr. Kazimiera Fiweger-Szpunarowa.

Z OSTRZESZOWA

Przystąpię odrazu do rzeczy...

Ostrzeszów — to przedewszystkiem miasto przeszłości. Istniał już w starożytności; tędy, bowiem, wiodła droga Rzymian po bursztyn do Bałtyku. Miastem był już w. XII., czy nawet XI. wieku, jak stwierdzają różne dokumenty w Kodeksie dyplomat. Wielkopolski. Do dziś zachował też okruchy przeszłości: ruiny zamku Kazimierza W., 4 kościoły kat., wtem farę, również pochodzącą od „Króla chłopków". Przeżywało miasto, w krętym labiryncie dziejów, jasne i ciemne chwile Największą „krzywdą" — to włączenie do „młodszego" powiatu — kępińskiego. Dzisiaj liczy około 7 tys. mieszkańców, posiada gimnazjum (dziś w rękach Ks. Ks. Salezjanów), seminarjum naucz., szkołę powszechną itd., no... i wątłe, średniowieczne ulice — z magistratem w rynku.

W pobliżu miasta wystrzelił najwyższy punkt W., Bałczyna.

Obecnie stał się O. siedzibą głośnego poety — (lecz głośniejszego poza O.!...) Stanisława Czernika. Na palcach (dodam jeszcze palce nóg, bom szczery) mógłbym policzyć tutaj ludzi, którzyby „bez zachłyśnięcia się" wymienili tytuły jego zbiorków poetyckich i czasopism, których pisze. (Często mogłem się o tem przekonać!) Pisze, studjuje, mało udziela się, znowu pisze, jak każdy zresztą, który myśli się „wdrapać" na stromy szczyt Olympu. Pozatem u nas kryzys — i obawa przed Hitlerem... **Stefan Kadjasz.**

RECENZJE

pod redakcją Alfonsa Szyperskiego

Stanisław Waszak:

Przewodnik po Inowrocławiu i Kujawach

(Kruszwica, Strzelno, Pakość)

16⁰ str. 175, 29 ilustr., 1 mapka Inowrocławia. Nakł. Zbigniewa Knasta w Inowrocławiu 1933 r.

St. Waszaka znamy jako niepoprawnego regionalistę, zajmującego się regjonem kujawskim. Wydał już w tym zakresie kilka drobniejszych prac, jak: „Wielki pieśniarz z nad Gopła" — Rzecz o Janie Kasprowiczu, „Harcerstwo na Kujawach" (praca zbiorowa), „O Stanisławie Przybyszewskim" i „W 600-lecie bitwy pod Płowcami". W tece swojej ma ponadto „Poezje Becińskiego, kuj. poety ludowego", „Jan Kasprowicz" (wyd. dla młodzieży szkół powsz.) i „O zbliżenie duchowe między Kujawami Zachodn. i Wschdn.".

Ten długi szereg prac regjonalnych wydanych lub przygotowanych pomnożył p. Waszak o nową pozycję, powiedzmy odrazu, wartościową. Ogłosił mianowicie „Przewodnik po Inowrocławiu i Kujawach".

Jak we wstępie autor zaznacza, jest to coś więcej niż przewodnik; „Zbliża się zaś raczej bardzo silnie do typu monografji regjonalnej". Ten podwójny charakter został w całej pracy utrzymany w proporcjonalnym stosunku. Przeciw nazwaniu „Przewodnika" typem monografji regjonalnej, przemawiałby głównie fakt nie podania, nawet na ostatniej skromnej kartce, spisu literatury lub źródeł; ten brak zmusza nas do zajęcia się „Przewodnikiem" jako przewodnikiem, a więc instruktywnym podręcznikiem praktycznym, a nie jako monografję, ponieważ trudną byłoby rzeczą sprawdzić słuszność twierdzeń Szan. Autora Zajmując się przewodnikiem, dyskontujemy zaufanie, jakie mamy do pracowitości i rzetelności naukowej p. Waszaka.

Układ „Przewodnika" wydaje się nam bardzo rzeczowy i praktyczny. Naprzód jest mowa o „Współczesnym Inowrocławiu i jego osobliwościach", czyli daje się odrazu czytelnikowi - turyście wskazówki, co jest godnego widzenia w Inowrocławiu. Dalej mówi się o „Inowrocławiu - Zdrojowisku" a wkońcu podaje się „Wiadomości praktyczne". To jest jakgdyby jedna część — praktyczna. Teraz przychodzi część teoretyczna z „Pradziejami Inowrocławia i okolicy" i „Stolicą Kujaw Zachodnich (zarys historyczny)"; ta część, bardzo interesująca (przypominam jednak, nie mogąc sprawdzać, o kredycie).

Kujawy, to jednak nietylko Inowrocław. Dużo w nich bogatych wspomnień historycznych. Dlatego następujące rozdziały: „Kruszwica", „Strzelno" i „Pakość". Na zakończenie, przed ogłoszeniami firm i planem Inowrocławia, praktyczny rozdzialik: „Co zwiedzać na Kujawach".

Kończąc to krótkie sprawozdanie, musimy raz jeszcze podkreślić, że popularne dziełko p. Waszaka jest cenną pozycją jako przewodnik nietylko praktyczny po plennej ziemi kujawskiej. Dzielimy się także nadzieją z p. Waszakiem, że dziełko jego będzie bodźcem do napisania poważnej i naukowej monografji o Inowrocławiu z uwagi na zbliżające się 700-lecie miasta. **(jad.)**

Kowalenko Władysław:

Osadnictwo grodowe Wielkopolski wczesnohistorycznej

Nakładem Z. O. K. Z. Poznań 1933 str. 45.

Książka ta zawiera owoc kilkoletnich badań i dociekań autora i sięga w głąb dziejów Wielkopolski, w okres, stojący na pograniczu prehistorji i ścisłej już historji. Na wstępie sumuje autor krótko wyniki badań dotychczasowych nad „grodziskami", czyli pozostałościami grodów wielkopolskich, prowadzonych przez dawniejszych uczonych. Dotąd w nauce uważano tylko, że grody przedhistoryczne i wczesnohistoryczne służyły jako punkty obronne i sypane były w miejscach, które z natury już obronne były. Autor zaś stawia twierdzenie, że raczej spełniały one rolę pomocniczą w osadnictwie i rozmieszczenie ich wskazuje równocześnie szlaki osadnicze. Te znowu trzymały się dróg naturalnych w postaci rzek i prowadziły w okolice zawsze żyźniejsze, które wybierał oczywiście człowiek w pierwszym rzędzie. Dowodem na to twierdzenie jest właśnie zagęszczenie grodzisk w środku kraju, a nie na jego granicach i skupienie ich na tych najlepszych szlakach osadniczych. Ogólna cyfra grodów wielkopolskich, wyznaczonych przez autora, wynosi ok. 400! (Dotychczas znano ich 200). Ujmuje on je w kilka kompleksów: w prawem dorzeczu Warty: gnieźnieński, kruszwicki i giecki (od Giecza, dziś wioski), w lewym zaś: mogileński, dolno- i górno-obrzański, barycki, lubuski i fordoński. (Orjentację w nich ułatwia załączona mapa grodów). Próbuje autor również ustalić jakąś zgodność między takim kompleksem grodowym a obszarem plemiennym, pojmując „plemię" jako mniejszą grupę etniczną. Na obszarze Wielkopolski mielibyśmy więc kilka plemion, jak Kujawian, Gnieźnian (właściwych Polan), Gieczan i Mogilnian. Kwestję dalszych plemion południowych, oraz określenie szczegółowych właściwości kulturalnych każdego z nich pozostawia autor jako otwarte i zapowiada przedstawienie tych zagadnień później. Książka ta bardzo pożądana w historjografji Wielkopolski, daje ścisłą metodą naukową opracowany zarys dziejów pierwotnych tej dzielnicy i wzbogaca, poza swą wartością ogólną, również naszą literaturę regjonalną. **St. Pomykaj.**

Stanisław Pomykaj:

Wielkopolska wobec odsieczy wiedeńskiej r. 1683

Środa 1933, str. 18.

Z okazji 250-lecia odsieczy wiedeńskiej wydana broszurka przedstawia fragment polityki historycznej Wielkopolski, stosunek magnatów i szlachty wielkopolskiej do planów Sobieskiego. Wielkopolska była długo planom tym przeciwna, (sejm jeden zerwał poseł wielkopolski) aż wreszcie na sejmie r. 1683 udzieliła swej zgody na przymierze z Austrją i w wyprawie samej wzięła udział. Wielkopolska wieku XVII. nie objawiała jednak silnego zainteresowania polityką i potrzebami naszych kresów południowo-wschodnich. **J. N.**

APEL

Wracając do Apelu pomieszczonego w nr. 10 (25) „Wici Wielkopolskich" uzupełniamy co następuje:

Przystępujemy do opracowania tajnego szkolnictwa polskiego za czasów zaborczych w Wielkopolsce.

Osoby, które mają do tego tematu jakiekolwiek materjały, do wspomnień osobistych włącznie, prosimy uprzejmie o przysłanie ich pod adresem: „Wici Wielkopolskie" Września ul. Poznańska 6, z dopiskiem na kopercie: „Tajne szkolnictwo".

Ewentualne zapytania prosimy kierować pod adresem: B. i J Deresiewicze Poznań ul. Działyńskich 7 m. 14.

Musimy tu ponadto wyjaśnić. że projektowaliśmy pierwotnie opracowanie tajnego szkolnictwa i początków polskiego szkolnictwa we Wrześni, jako inicjatorki strejku szkolnego. I do tego tematu napływa w dalszym jeszcze ciągu obfity materjał. W chwili zestawu odpowiedniego apelu w „Wiciach Wlkp." zawiadomiłem drukarnię o rozszerzeniu tematu i o potrzebie odpowiedniej zmiany treści apelu. Że ona nie wyszła po myśli autorów, nikt winy nie ponosi.

Wszystkie pisma ukazujące się na terenie Wielkopolski prosimy o powtórzenie głównego tenoru niniejszego apelu.

Bogdan i Janusz Deresiewicze.

Cena: pojedyńczy numer 40 gr. **Prenumerata wprost z administracji z przesyłką kwartalnie 1,50 zł, półrocznie 3,00 zł, całorocznie 6,00 zł. Na poczcie tylko kwartalnie zł 1,05.**

Do nabycia we wszystkich kioskach „Ruchu", we wszystkich kioskach gazetowych Poznania i Bydgoszczy, we wszystkich większych księgarniach Wielkopolski. - W Warszawie: Księg. Gustawa Szylinga, ul. Szpitalna 10. - W Krakowie: Księg. D. E. Friedlein.

Redakcja: Poznań, ul. Działyńskich 7. — Przedstawiciel redakcji J. Deresiewicz przyjmuje w poniedziałki i czwartki od godziny 3—4. — Przedstawiciel redakcji na Warszawę: Dr. St. Helsztyński, ul. Grottgera 19 m. 13 - Tel. 8.45.48.

Korespondencje kierować należy do Administracji i sekretarjatu redakcji: Września, ul. Poznańska 6.

Nakładem i drukiem A. Prądzyńskiego we Wrześni. Konto P. K. O. Poznań № 200.057.